



Nr 15.

Warszawa, dnia 29 Marca (10 Kwietnia).

Rok 1875.

### Czterech Zuchów.

Na wsi u państwa O. znajdowało się dwóch ich synków Staś i Jaś, i dwóch ich braci stryjecznych Michałek i Filipek. Byli oni wszyscy czterej dziarskiemi chłopczkami, ale woleli biegać jak siedzieć przy książce, a jak się rozfiglowali to już figlom nie było ni końca ni miary.

Nauczyciel ich pan Anzelm, kiedy się dobrze sprawowali nazywał ich zuchami, i uśmiechając się gładził im buziaki.

slano po nich do pokoju, a tu nie ma żadnego dalej więc do ogrodu, do stodół i stajen. Woła Ojciec, woła i Nauczyciel, wpytuja się wszystkich, ale nikt ich nie widział i nikt nie wie co się z nimi zrobiło. Wreszcie poszedł pan Anzelm ku sadzawce za ogrodem, słucha a tu coś skwierczy: przyrzy się a tu coś się rusza, niby to chłopczyki niby nie oni. Idzie jednak ku temu co skwierczy i rusza się, aż wreszcie poznaje swoich uczniów.

Ale Staś wpadł w sadzawkę, woda z niego kapła i z rękami rozczapierzonemi wyglądał jak żaba z wody wyjęta.

Jaś przełaząc przez płot wpadł w krzak tarniny i grzebiąc się na nim nie tylko podarł na sobie



Państwo J. z zadziwieniem przypatrywali się chłopczykom.

Raz do państwa O. przyjechali bliscy krewni i chcieli koniecznie chłopczyków zobaczyć. Ale nasi czterej zuchowie mieli jeszcze to przyzwyczajenie, że jak tylko goście do dworu zajeżdżali, to oni tyłami, zaułkami i bokami wyjeżdżali w pole lub do lasu, i dalejże tam brykać jak żrebaki gdy ze stajni wybiegną.

Gdy więc do państwa O. przyjechali krewni, pragnęli koniecznie zobaczyć chłopczków: po-

ubranie, ale podrapał się jakby kociemi pazurkami. Michałek zaś był rozmamany i z włosami rozochranemi, bo ganiając się za motylami bęgnął na ziemię ze sześć razy i jak to mówią przykrył się nogami; Filipek wreszcie spadł z gruszki i nabił na głowie guza jak cytrynę.

Kiedy pan Anzelm zobaczył tak chłopczyków ślicznie przystrojonych, spełniając życzenie Ojca wprowadził ich wszystkich do bawialni, ale ze wsty-

du Staś nie umiał kroku stąpić, Jaś zakrył oczy, Michałek kręcił się niespokojnie a Filipek guz piastował na głowie.

Państwo J. z zadziwieniem przypatrywali się chłopczykom, pytając co to za jedni?

— My znamy dobrze, odezwał się pan J. Stasia, Jasia, Michałka i Filipka, ale tych co przed nami stoją, to zupełnie nie znamy.

— Czemże więc jesteście? zapytał Nauczyciel— Czem powiedźcie sami, bo ja nie wiem jak was nazwać?

Gdy wszyscy milezeli, a pan Anzelm ciągle się pytał, czem są i jak ich nazywać należy?—Michałek jako najstarszy nie namyślając się odrzekł;

— Zuchami, proszę pana Nauczyciela.

— Tak, zuchami ale do pełnej misy jak myszy, co w pałacu czy w chałupie, każda wszystko gryzie chrupie.

Odtąd nazywano ich zuchami do misy, a w pokoju dodawano, że koniecznic z kluskami ze słoniną, bo od kaszy to ich byle czem odstraszy. Przytyczki te nie spodobały się chłopaczkom, poskarżyli się więc przed panem Anzelmem prosząc, aby zabronił przyzywać ich zuchami do misy, ale Nauczyciel odrzekł, że zakaz na nie się tu nie przyda, że najlepiej starać się być zuchem bez żadnego dodatku.

Chłopcy zadumali się.... z pewnością cóż z tego dobrego wyniknie, bo kto myśli to w końcu coś przecie wymyśli.

## Chłopczyk i Papuga.

### Chłopczyk.

— Podobasz się mi, moja ty papugo,  
Bo umiesz mówić, nie jak inne ptaki...

### Papuga.

— Nad twą pochwałą nie rozwódź się długo,  
Układ słów moich zawsze jest jednaki...  
Cóż przyjdzie komu, że ja paplać umiem,  
Kiedy ni słowa z tego nie rozumien?

Ucz się więc, chłopcze, i użyj chwil życia  
Dla cnót przelicznych i nauk zdobycia;  
Ucz się i pracuj, wciąż postępuj dalej,  
Żeby ci ludzie kiedyś nie wysmiali,  
Żeś wart pochwały jako my papugi.  
Co paplem wyrazi bez żadnej zasługi.

*Józef Chmielowski.*

## Na placu ujazdowskim.

W pierwsze święto Wielkanocy, Janek z Wujem poszli przypatrzeć się zabawie ludu na placu Ujazdowskim.

— Tylko czy ty zajdziesz tak daleko?— zapytał Wuj Janka, bo dorożki nie dostaniemy. Pewno nogi cię zabolą.

— O nogi moje niech Wuj będzie zupełnie spokojny, odrzekł Janek. Cały dzień mogę biegać bez odpoczynku to zajdę choćby najdalej.

Poszli więc, mijali ulicę jedną po drugiej i razem z wielką ciżbą ludzi doszli aż do alei na plac prowadzącej. Tam zaraz zobaczyli chłopca

prowadzonego przez policyanta a za niemi spieszyła wielka gromada ciekawych.

— Gdzie oni idą?— zapytał Janek.

— Za chłopcem co go policya prowadzi do komisarza.

— A po co?

— Był widać niegrzeczny, popychał drugich, kłócił się a może pobił, żeby więc nie robił nieporządku, nie przeszkadzał drugim do zabawy, policya odprowadza go albo do domu albo do kozy.

Jak weszli na plac, dał się słyszeć wielki wrzask w oddaleniu, i ujrzano jak jakiś młody żydek uciekał a kilkudziesięciu chłopców krzycząc goniło go z wielką zapaleczywością,

— Kogo oni tak gonią?— zapytał Janek.

— Gonią jakiegoś młodego żydka, przez pustotę dla zabawki, ale brzydka taka zabawka, bo i żyd taki człowiek jak każdy, tak jego Bóg stworzył jak mnie i ciebie, więc jest nam bliźnim, któremu winniśmy nieść pomoc i opiekę a nie prześladowanie.

W tej chwili dobiegało do Wuja z Jankiem kilku chłopców z krzykiem spiesząc do miejsca gonitwy.

— Kawalerowie, odezwał się Wuj do nich, gdzie tak biegniecie?

— A za żydem, proszę pana, odrzekli chłopcy i zatrzymali się w biegu.

— A cóż wam przyjdzie z tego choć go dogonicie?

— A wybijemy go, bo po co tu przyszedł.

— Wybić łatwo gdy was stu na jednego, ale to moi kawalerowie nie godzi się. Żydek młody chce się także jak wy zabawić, dla czegoż mu bronić tej przyjemności. Gdyby z was którego tak goniono czy byłoby wam przyjemnie?

Chłopcy zawstydzili się, coś mruknęli pod nosem ale nie udali się w dalszą gonitwę.

— A czy ich Wuj zna?— zapytał Janek.

— Nie, pierwszy ich raz widzę.

— A to po cóż Wuj z niemi rozmawiał?

— Żeby nie robili tego co jest złem i niedobrem, bo każdy winien jeden drugiego przestrzegać.

Gdybyś szedł prosto na kamień albo na drzewo a ja cię nie przestrzegł, czybym dobrze zrobił?

— A nie, bobym upadł i stłukł się.

— I oni chcieli krzywdę wyrządzić swemu bliźniemu, więc winienem był ich przestrzedz.

— To dobrze Wuj zrobił.

— I ty zawsze tak rób jak urośniesz, i jak zobaczysz że kogo prześladowają czy żyda czy chrześcijanina to go bron a Bóg ci będzie błogosławił.

Kiedy Janek doszedł do końca placu, nie mógł się dosyć napatrzeć wszystkiemu. Koło huśtawek, karuzeli i młynów dyabelskich stało pełno ludzi; huśtawki bujały się, karuzele kręciły, młyny obracały a tu i owdzie przygrywały katarynki. Chociaż Janek miał wielką ochotę pokręcić się na karuzeli, jednak nie prosił o to, tylko Wuj domyśliwszy się, sam go usadowił na siedzeniu pomiędzy jakąś panienką i chłopczykiem prosząc aby pilnowali żeby nie zleciał. Kiedy karuzel puszczono w bieg, Janek wiele razy przebiegał koło Wuja, kłaniał mu się kapelusikiem i powiadał że jedzie do Paryża.

Jazdą tą ubawił się bardzo, ale jak Wuj powiedział, że już będzie dosyć, Janek zaraz zszedł z siedzenia i podziękował za sprawioną sobie przyjemność. Potem przypatrywali się huśtawkom, a z młynów dyabelskich Janek w głos się rozśmiał jak zobaczył, że za pokręceniem korby, jedni siedząc na ławeczkach idą w górę bardzo wysoko, a drudzy na dół opadają.

Na środku stały dwa słupy wysokie a na jednym z nich umazanych mydłem na samym wierzchu, wisiał kapelusz, zegarek, zawiniątko z ubraniami, butelka wina i sześć rubli dla tego co wdrapał się po słupie na sam wierzchołek. Z jednego słupa już rzeczy ze zdjęte były, a drugi zostawiony był na poniedziałek. Janek uważnie przypatrzył się słupom i powiedział, że nie umiałby wdrapać się na ich wierzchołek.

Przechodząc przez plac Wuj pokazał Jankowi roznoszącego kielbaski gorące i powiedział, że się nazywa Zwolenński i że ma już sto lat życia, a chcąc go bliżej poznać z takim starszym najstarszym może nie tylko w Warszawie ale w całym Królestwie, poprosił o parę kielbasek i bułeczki.

Kielbaska bardzo smakowała Jankowi, i zjadł ją ze smakiem, a wiedząc że żartem powiadają iż kielbaski te robią z kotów, uśmiechając się rzekł:

— O! teraz koci pazurek chrupnąłem.

Zwolenński spojrział na Janka ale przekonawszy się że żartuje, odpowiedział na zapytanie ile ma lat wieku: iż już kończy sto i dwa lata.

Janek nie mógł się wydziwić tak długiemu życiu, a Zwolenński rzekł:

— Żyję tak długo panie, bom zawsze szanowałem zdrowie od lat najmłodszych. Nie obijałem się nigdy zbyt mocno, nie spałem za wiele, nie piłem za dużo, nie bawiłem się za nadto, tylko wszystko robiłem w miarę a pracowałem zawsze z wielką gorliwością.

Jankowi spodobała się ta odpowiedź i powiedział, że tak samo będzie robił jak Zwolenński to tak jak on żyć będzie długo.

Ponieważ już nadchodził wieczór, zabrano się zatem do powrotu i Janek choć ciągle był na nogach powrócił jednak pieszo, ale się dobrze znał i jak tylko przyszedł do domu i przywitał się z Rodzicami, Babcia i Ciocia, opowiedział wszystko co widział, jak się bawił, potem wypił herbatę i jak się położył zaraz usnął i nie przebudził się aż na drugi dzień o ósmej rano.

## Raz-dwa-trzy!

Kazio kilka razy słyszał, że brat jego starszy, czy to zabierając się do nauki, czy wstając od niej, czy mając grać na skrzypcach, lub kończąc ćwiczenia na nich zadane, zawsze mówił głośno: raz-dwa-trzy! i w ten czas zrywał się i albo rozpoczynał jaką nową pracę albo od niej wstawał.

— Dla czego ty tak mówisz, raz-dwa-trzy! zapytał Kazio.

— Bo łatwiej spełniam to co zamierzam, odrzekł brat. Czasem nie mam do czego ochoty, ale jak zawołam, raz, dwa, trzy! tak i ochota jakoś się znajduje.

Na drugi dzień, Kazio patrzy, a brat się uczy bardzo pilnie, a przy nim leżą prześliczne wiśnie. Stał tuż przy samym stole, spiał się na palce i przeknął słinkę.

— Smaczne wiśnie, pomyślał sobie, mam na nie wielką ochotę, ale nie mam ochoty zjadać za brata.

I znowu patrzy, tyka słinkę a wiśnie jak na złość rumienia się i prawie same do ust się ejsną.

Kazio wyciągnął więc rękę...ale zaraz ją cofnął, bo mu żal zrobiło się brata.

— Ach! gdybym na niego nie zważał! pomyślał sobie, a w tem przyszedł mu do myśli sposób jakiego brat używał na zachętę siebie. Zawołał więc: raz-dwa-trzy! i cap za dwie wiśnie i prosto do buzi. Ale brat widział wszystkie te manewra Kazia, gdy więc ten zawołał: trzy! brat uchwycił za wiśnie, urwał je, a Kazio korzonki same poniósł do buzi.

— Cóż smaczne wiśnie? zapytał brat.

— A kiedy nie wiem gdzie mi się podziały? odrzekł Kazio nie wiedząc na prawdę że je brat urwał.

— Bo mój sposób dobry jest tylko na lenistwo, i na łakomstwo, ale nigdy nie pomaga do łasowania, a nawet przeciwnie usmierza je.

— A to jakim sposobem.

— Bardzo prostym. Otóż patrz na wiśnie, wymów te wyrazy, a jak rzekniesz: trzy! zwróć się i pobiegnij do drzwi, a potem zobaczysz co będzie, Kazio wykonał polecenie, brat przykrył czapką wiśnie, a gdy Kazio od drzwi się obrócił, patrzy a tu wiśni nie ma.

— Cóż masz teraz ochotę, na wiśnie?

— Mam, odrzekł Kazio, ale już nie taką jak wprzód.

— Żeś prawdę powiedział, to ci pokażę jedną sztuczkę bardzo zabawną.

— Jaką, jaką?

Obróć się plecami do stołu, i jak zawołam: trzy! zwróć się twarzą do niego. Tylko teraz ani się obejrzyj. boby się sztuka nie udała.

Brat coś tam robił, szeleścił papierem, kręcił się, wreszcie zawołał:

— Baczność! raz-dwa-trzy! Kazio zwrócił się, patrzy... a tu leżą wiśnie, przy nich papier, a na papierze wielkimi literami napisane:

*Dla Kazia w podarunku  
że prawdę powiedział.*

Kazio uśmiechnął się i zającując wiśnie, rzekł:

— Te twoje raz-dwa-trzy! to bardzo dobre.

— O! doskonałe, ale tylko używać ich należy dla nabrania ochoty do pracy. Gdy zaś ma się ochotę... łasować jaki przysmaczek, to najlepiej, na wymówienie: trzy! zamknąć oczy, a gdy to nie pomoże, wymknąć się za drzwi i ugryść w język.

— O! kiedy toby bolało odezwał się Kazio.

— A czy myślisz że to Mamę nie boli i mnie także gdy widzą że synek Mamy a mój braciśzek łasoi? Język choć ukąszony zagoi się, ale serce gdy boli..... to ból co czasem nigdy się nie chce zagoić.

— Już nie mów tak mój drogi, zawołał Kazio, już nawet nie pomyśle o żadnym przysmaku.

## Wacús na próbie.

U Wacusia Rodziców byli goście i koniecznie chcieli zobaczyć go, czy urosł i jak wygląda. Ale Wacús usłyszawszy że go wołają, uciekł do ostatniego pokoju i schował się do szafy. Szukają go więc

480  
wszędzie, wołają, a Wacús siedzi w szafie i okrył się sukniami co w niej wisały. Kiedy wreszcie przekonano się że go nigdzie nie ma, Mama niezmiernie zaniepokoiła się i prawie z płaczem rzekła, żeby go szukano za domem. Wacúsiowi żal się zrobiło Mamy, wyjrzał więc z szafy i rzekł:

— Mamusiu, niech Mama nie płacze, bo ja tu jestem schowany.

— A to dla czego? — zapytała Mama z radością że się synek znalazł.

— Bo ja nie lubię chodzić do gości.

— Ach! ty niedobry chłopeze, rzekła Mama i poleciwszy mu grzeczne znalezienie się w bawialni, poprawiwszy ubrania wprowadziła do gości. Wacławek z miną kwaśną wszedł z Mamą, ale zamiast grzecznie się uklonić, zasłonił sobie oczy i jak w szafie okrył się suknią Mamy.

— Cóż to za dziecko mamy między sobą? zapytał Ojciec. Czy to młody wilczek, czy też niedzwiadek?

Wacús jeszcze lepiej wtulił się za suknię Mamy i potem razem z nią wyszedł do drugiego pokoju.

— Ach! Wacúsiu tyle mi wstydu narobiłeś przed obcemi ludzmi, że teraz nie będę śmiała spojrzeć na nikogo.

— Kiedy ja nie lubię być między obcemi ludzmi, szepnął Wacús zaczerwieniony.

— Jak urośniesz, to musisz żyć z ludźmi, trzeba się więc do ludzi przyzwyczajać.

— To ja nie będę żyć z ludźmi, obejdę się bez nich.

— Nie obejdiesz się moje dziecko, bo człowiek bez ludzi nie dałby sobie rady.

— O! ja dam sobie radę.

— Jeżeli tak myślisz, to jutro od rana zostań sam w waszym dzieciennym pokoiku, a jeżeli dzień jeden wytrzymasz sam jeden zupełnie, to cię już nigdy do gości nie będę wprowadzała.

— Ach! to dobrze, zobaczy Mama że mi się nie przykrzyć nie będzie.

Na drugi dzień, Wacús jak tylko się obudził zastał przygotowane już śniadanie na stoliku, ale gdy chciał zajrzeć do drugiego pokoju, drzwi zastał zamknięte.

— To próba, pomyślał sobie, bardzo dobrze. dzień jeden jak nie minie, przekonają się że bez ludzi potrafię się obejść.

Zjadł więc śniadanie, popisał i poczytał troszkę z książki, potem zaczął oglądać obrazki, ale jakoś nie bawił się tak jak myślał. Spojrzał na zegar a tu dopiero godzina dziesiąta:

— Myślałem że to już nie długo będzie południe, rzekł z frasunkiem, a tu jeszcze dwie godzin trzeba czekać.

W pokoju było much kilkanaście, zaczął więc przyglądać się jak fruują, jak się muskają, jak jedna na drugą napada, wreszcie porachował je wszystkie i znudzony usiadł na łóżku. Na zegarze nie przeszło jeszcze pół godziny.

— Gdyby Mania tu przyszła, szepnął sobie w myśli, ale drzwi zamknięte to się nie dostanie. Co tu robić?

— Zbliżył się więc do drzwi i szepnął:

— Maniu! Maniu! czy mnie słyszysz?

— Słyszę, odrzekła, ale mówić z tobą nie mogę, bo Mama powiedziała, że się przyzwyczajasz być bez ludzi, więc nie trzeba ci przeszkadzać.

— Nie nie szkodzi, odrzekł Wacús, przeszkadzaj mi ja się nie pogniewam.

— Nie mogę, — szepnęła za drzwiami Mania, ale już ciszej, boby się Mama gniewała.

— A czy Mama jest przy tobie?

Wacús ponowił jeszcze pytanie, raz, drugii trzeci, ale z drugiej strony drzwi nie nie odpowiedziano. Spojrzał na zegar, a tu ubiegł kwadrans dopiero czasu.

— Co tu robić? — pomyślał Wacús.

Zaczął więc skakać po pokoju, ale w pięć minut zmęczony się i usiadł przy stoliku. Czytanie jeszcze gorzej poszło, przy pisaniu zrobił trzy kleksy a napisał jedną tylko literę, odsunął więc kajet, i rzekł:

— Ach! żeby to z kim choć troszkę pogadać.

— Maniu zmiłuj się, szepnął przy drzwiach, choć słówko jedno odezwij się.

Nadstawił ucha, ale usłyszał tylko westchnienie Maryni; była zatem w pokoju. Usiadł przy stoliku, podparł głowę i chciał zdrzemnąć się, ale oczy same się otwierały.

— Szkaradne oczy, pomyślał, jak na złość nie chcą się zamknąć i usnąć. Ja chyba tak nie wytrzymam; do południa jeszcze godzina, a tu sam nie wiem co robić? Wiem teraz: będę myślał że jestem z Manią, Józiem i Anielką i że z niemi bawię się:

I zaczął zaraz rozprawiać głośno, udając rodzeństwo, ale zabawka ta prędko go znudziła i rozplakał się na prawdę. Prędko jednak łzy otarł i po chwili namyśliwszy się rzekł:

— Tak samemu być, to trudno, powiem Mamie wszystko z prawdą a wiem że się nie będzie gniewać.

I rzekłszy to zapukał do drzwi:

— Maniu, poproś Mamy i powiedz, że dalszej próby nie wytrzymam, bo z nudów ledwo nie umrę: i Rodziców jeszcze nawet nie widziałem.

— Czy na prawdę tak mówisz? zapytała Mania.

— Na prawdę jak cię kocham.

W tej chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Mama z córeczką Manią. Wacús rzucił się w Mamy objęcia i rzekł z rzewnością:

— Ach! Mteczko, jakże mi przykro było tak samemu.

— Poznałeś więc, że bez ludzi żyć nie można?

— Och! poznałem, poznałem, już teraz nigdy od gości nie będę uciekał.

## Dobry Kotek.

Kotek miał bułkę i zjadał smacznie;

Przyszedł doń drugi i prosić się zaczęło:

— Daj kawaleczek, bom bardzo jest głodny!

— Dobrze, koteczku, tyś jak brat mój rodny,

Wspierać się trzeba kaniecznie w potrzebie...

Odlamał kasek — Masz, to jest dla ciebie!...

Pani się dobroć kotka spodobała —

Za to mu mięsa kawalek podała.

*Józef Chmielewski*